

Macierz Polska.

Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży

NR. 23.

CHICAGO, 6-go CZERWCA (JUNE 6-th), 1907.

ROK (Year) VIII

ENTERED AT CHICAGO, ILL., POST OFFICE AS SECOND CLASS MATTER



PRZYJACIELSKA USŁUGA.

Polowanie na bawoły.

(Henryk Sienkiewicz.)

(Ciąg dalszy).

Pewne zniechęcenie poczęło ogarniać nasze grono. Trzy dni konnej jazdy nuży, zwłaszcza, gdy nie nie zajdzie takiego, coby dozwoliło zapomnieć o zmęczeniu. Zatrzymywaliśmy się często dla przetrząśnięcia okolicy. Rozbiegłszy się na wszystkie strony, tak daleko, że jeden tracił z oczu drugiego, zataczaliśmy wielkie koła, przepatrując wszystkie krzaki, zarośla, rozpadliny stepowe, zawsze napróżno. Towarzysze moi zaczęły coraz częściej zsiadać z koni, aby szukać wypoczynku na wozach; ja, przyzwyczajony już do ciągłych konnych wycieczek w południowej Kalifornii, męczyłem się mniej od innych i przepatrywałem okolicę starannie. Towarzyszył mi zwykle Ward, który od czasu sprzeczki z Thompsonem zaczął się mniej ze mną sprzeczać. Zapraszaliśmy z sobą i "Lewą rękę;" ten jednak mało oddalał się od karawany, zachowując się widocznie na później i nie ukrywając złego humoru z przyczyny niespodziewanego braku zwierzyny na stepie.

Czwarty dzień przeznaczony był na wypoczynek; karawana miała wyruszyć dopiero nazajutrz o świcie; tymczasem, ponieważ nic nie zdradzało obecności Indyan, każdy mógł robić, co mu się podobało, pozostać przy wozach lub jechać na polowanie, gdzieby chciał. Przyłączyłem się do metysów Smitha i Bulla, i ruszyliśmy razem w kierunku wschodnim. Tym razem los nam sprzyjał; za ledwie bowiem oddaliliśmy się na parę mil angielskich od karawany, z krzaku, rosnącego opodal, wysunął się duży ryś, szary, centkowany, nie dalej, jak o trzydzieści kroków od nas. Wstrzymawszy natychmiast konia, strzeliłem doń tak szczęśliwie, że zabiłem go na miejscu. Kula strzaskała mu wierzchnią część karku wraz z kręgami szyjnymi. Ale, gdym dla pewności, zeskoczywszy na ziemię, dobijał go jeszcze kilku pchnięciami noża, z pobliskiego krzaku ruszył się drugi, który utulił się po strzale i, zaślepiony wściekłością lub trwogą, ruszył wprost na mnie. Za ledwie jednak miałem czas przykłęknąć, przysłoniwszy jedną ręką oczy, drugą trzymając straszliwy "bowie-knife", gdy w powietrzu świsnęło łąso, rozległo się jakby uderzenie biczem; schwytny za szyję zwierz, lekknął chrapliwie, zwinął się w kłębek i odbijając się jak piłka, od kamieni i gruntu stepowego, porwany został jakby wichrem w step przez metysa Smitha. Drugi przewodnik, Bull, schwytał tymczasem konia z którego zsiadłem dla dobitcia mojej ofiary, a który, w chwili gdym przykłęknął,

uciekł i galopował w kierunku karawany. Ten najpiękniejszy rzut łąso, jaki kiedykolwiek widziałem uchronił mnie co najmniej od licznych pokasań i zadrapań ręki, które zresztą raz już musiałem przeżyć w krzakach kalifornijskich. Życiu myśliwca, uzbrojonego w nóż właściwie mówiąc, rzadko zagraża niebezpieczeństwo, chyba, w razie zupełnej utraty przytomności. Ryś, dziki kot i jaguar rzucą się zwykle na oczy, że zaś te przysłania się w takim razie ręką, zwierz chwyta się pazurami i zębami, a zanim poprzedziera ubranie, kilka pchnięć trójkątne i tęgiego noża w brzuch i w piersi uspakaja go zwykle. Na południu zuchwali myśliwi uderzają nawet w ten sposób na jaguara, obwiązawszy poprzednio lewą rękę grubym „puncho”. W zimnym jednak klimacie, w którym i tak nosi się grubsze ubranie, ręka, zwłaszcza gdy się ma do czynienia z mniejszym zwierzęciem, wychodzi zwykle bez szkód znaczniejszych. Na szarego niedźwiedzia jednak ten sposób nie przydał się na nic; ten bowiem nie tylko umie parować nóż, jak najprzedniejszy fechtmistrz, ale jednym uderzeniem łapy zdiera skórę z głowy i gruchoce czaszkę.

Smith powrócił wkrótce ze swoim łupem, udużonym i porozbijanym o kamienie. Pytałem go, czy nie potrzeba jeszcze kilku pchnięć, noża, ale on, pokazując mi swoje białe zęby, odpowiedział, że jest „fixed”, jakby po polsku powiedzieć „ustalony”. Jakoż i był ustalony raz na zawsze, bo po swej przejażdżce myślę, że nie miał ani jednej całej kości. Indyanie i metysowie chwytają na łąso nawet niedźwiedzie i bawoły, ale w takim razie jeden koń i jeździec nie wystarcza; za to wszelkie inne zwierzęta nie wyłączając i jaguara, wleczone przez kwadrans po stepie, tracą stanowczo życie, bądź to skutkiem uderzenia, bądź skutkiem pogruchotania kości pa-cierzowej.

Założywszy naszą zwierzynę na konie, które zachowały się przytem dziwnie spokojnie, ruszyliśmy w kierunku karawany. Za ledwie jednak jechaliśmy z kwadrans, metys Bull, obdarzony nadzwyczajnie bystrym wzrokiem, przysunął się do mnie i szepnął mi, abym, udając, że się nie oglądam, spojrział na prawo w krzaki, pokrywające niewielką wyniosłość, odległą na tysiąc może jardów. Poszedłem za jego radą i, zwróciwszy nieco konia, wyteżyłem wzrok we wskazanym kierunku. Krzaki były wysokie i dość gęste, napróżno jednak badałem je oczyma. „What is the matter?” (coż to jest) spytałem metysa: — „Buffalo?” — „No,” odpowiedział. — „Niedźwiedź?” — „No,” „Cóż nakoniec?” „Patrz teraz między te dwa krzaki.” Spojrzałem jeszcze raz i po chwili ujrzałem jakoby dwa końce skrzydeł, chwiejące się lekko między gałęziami. — „To ptak?” spytałem. — „No sir! to „indzun”, który nas śledzi”. Przez krótką chwilę

naradzaliśmy się, co mamy robić, czy dać poznać wojownikowi indyjskiemu, żeśmy go dostrzegli, czy też udając, że nic nie widzimy, wrócić do karawany i ostrzedz ją, aby miała się nocą na baczności. Metyrowie, którzy mieli może ochotę odeprzeć nocny "stamped" (rozgon mułów), a przez to zasłużyć się nam i mieć potem prawo domagania się wyższej zapłaty, chcieli, żeby wracać, ja jednak uparłem się, aby jechać wprost na Indyanina: "He will kill you," rzekł mi Smith. — "All right!" odpowiedziałem, zwracając konia wprost nawzgorze. Nie tylko wiedziałem, że równa droga była tak mnie, jak i jemu być zabitym, ale byłem przekonany, że nie będzie nawet strzelał do mnie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wojownik ten musiał należeć do pokolenia Utów, które było uprzedzone przez Mac Lella o naszym przybyciu; powtóre, we własnym interesie nie porwałby się na mnie, wiedząc i widząc, że mam dwóch towarzyszy, a nakoniec Indyanin w czasie pokoju rzadko godzi na życie białego, którego śmierć nie może pozostać w ukryciu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BAJKA O KASII.

Była raz sobie Kasiénka mała, co latem gęsi w polu pasła, zimą do wiejskiej szkoły chodziła, w święta z rodzeństwem znów się bawiła. Miszkała Kasia w niewielkiej chotce, przy dobrym ojcu kochała matce.

Bywało, w pole wyjdzie co rana i śpiewa sobie: „Dana oj dana“; a z Kasią ptaszki gwarzą wesoło, dzwonki, fiołki pachną wokoło; słoneczko jasno nad głową świeci, w koło niej dużo pastuszków-dzieci, równianki wiją z jasnych sasanek, z dębowych liści uplotą wianek.

Zasię we święto albo niedzielę, Kasia piosenki śpiewa w kościele; w zapaskę tedy stroi się nową i wstążkę w kosy wplata pasową. A zaś wieczorem póki nie zaśnie, matula dziwne jej baje baśnie.

Nigdy Kasiénce nie było głodno, ani też smutno, ani też chłodno; przecie tak Kasia nieraz myślała: „Ej nie mam tego, cobym ja chciała. Chciałabym ja mieć suknie złociste, we włosach zasię wstęgi srebrzyste, zapaskę w gwiazdy wyhaftowaną, koszulę całą ze srebra tkaną, gorset jedwabny jak niebo jasne, na szyi duże korale krasne. Chciałabym z naszej białej pójść chaty i znaleźć sobie dwór — a bogaty. Gęsibym wtedy już nie pasła, ni z książki zimą w szkółce czytała. — Jenobym sobie w złocie chodziła i przez dzień cały nic nie robiła“.

Razu pewnego, co się nie dzieje! Patrzy się Kasia, karetą jedzie — ciągną ją barwne motyle w przodzie. Karetą mała, całkiem malutka, lecz dziwnad dziwy — jaka ślicznitka! Pomalowana w prze-

cudne kwiaty, róże lilije, maki, bławaty, jako to kwitną w ogrodach w lecie. Ale o dziwa! w tej tam karecie, coś jakby wróżka, dziwnego siedzi. Płaszcz ma na sobie jak z kropel rosy, a zasię gwiazdy wplecione w włosy, a suknia na niej jasna jak tęcza, cienka, jakgdyby nitka pajęczna. Ręką do siebie Kasię przyzywa i takie powiada dziwa.

— Wezmę cię Kasiu z tej białej chatki, dam ci wzorzyste i piękne szatki, zamek przedziwny dam na mieszkanie i ta karetą ci się dostanie; co zechcesz będziesz jadła i piła, a przez dzień cały nic nie robiła.

Bardzo tym słowom Kasiénka rada, przy pani wróżce czempredzej siada.

Patrzy, aż oto co się dzieje — zdala przedziwny zamek bieleje. Zamek z koralu na szklanej górze, wśród ogrodów gdzie lilie róże kwitną i złote rosną tam drzewa, na których wszelki owoc dojrzewa.

Spojrzy, a na niej suknie wzorzyste, a zaś we włosach wstęgi złociste, zapaska w gwiazdy wyhaftowana, koszula na niej ze srebra tkaną, gorset jedwabny jak niebo jasne, na szyi sznury koralu krasne.

Gdzie jeno stanie tam kwiaty rosną, tak jak po łąkach i niwach wiosną, a jeśli głodna to z drzew — ej! dziwy — same spadają gruszki lub śliwy.

Chodzi tak Kasia dzień jeden, drugi, a nic nie robi jak dzionek długi. Wszystkie na zamku zna już pokoje, już też przywdziała wszystkie swe stroje. Chciała więc uwić wianuszek z kwiatów, jak niegdys w wiosce z jasnych bławatów.

Ale się wróżka zaraz zjawiła, — Nic ci nie wolno robić — mówiła.

— To miotłę wezmę, zamieść dwór złoty.

— Żadnej się nie masz imać roboty.

— Tobym choć kwiaty z konwi podlała.

— Nic nie masz robić, tak jakieś chciała.

Oj już nie bawią Kasiénki cuda, wielką ją wzięła niebogę nuda. Cóż jej, że w strojach, jak słonko świeci, gdy niema żadnych koło niej dzieci. Sama się błąka po zamku w złocie i tak jej smutno, jakby sierocie.

— Oj lepiej było pasać gęsięta i baśni słuchać wieczorem w święta, w elementarzu czytać niewiele, piosenki śpiewać w święta w kościele. Lepsze bławaty — niżli lilije, a chata swoje — niż zamki czyje. Lepsze czerwone z płótna zapaski, niżli w niewoli złociste paski.

Pocóżem poszła od mojej matki, od jasnej wioski i białej chatki?

A gdy tak Kasia łamie rączęta, słonko jej w same spojrzy oczęta i wnet ją ze snu tego zbudziło, bo się to Kasi wszystko przysniło.



Chora na poddaszu.

Nietylko majątni nieść mogą pomoc nieszczęśliwym, ale i ubodzy, gdy w imię Pana Jezusa ofiarują usługę chorym i nędzarzom. Każdy z nas, kto tylko ma siłę i dobre chęci, może być użytecznym na ziemi. Tego właśnie dowodem zdarzenie, które tu dziatkom opowiadamy,

Do narożnego domu na jednej z ulic miasta małego T. wprowadziła się na trzecie piętro wdowa z dwojgiem dzieci. Nie pobierając żadnego wsparcia, pomimo wieku podeszłego, utrzymywała się z dziećmi z szycia bielizny. Lecz często trudno jej było wystarać się o robotę, i niejednym tygodniem zeszedł bez zajęcia, a w tym czasie kończyły się dawne zapasy.

Zajęta pracą i wychowaniem dzieci, żyła biedna wdowa nieznaną sąsiadom, dość długo. Nikt nie zaglądał do izdebki pod dachem i nikt też z sąsiadów nie wiedział, że zachorowała na gorączkę, a po niej syn i córka zapadli na tę samą chorobę.

Bóg często dopuszcza cierpienia na ludzi, ale prędko śle i pociechę za nimi.

Wdowa będąc jeszcze zdrową, często pamagała w kuchni, pewnego cukiernika. Kiedy przez kilka dni nie pokazała się tam wcale, zwrócił na to uwagę terminator z cukierni Józef.

Był to chłopczyzna 14-letni, który nigdy nie odprawił nieszczęśliwego bez jakiegobądź wsparcia. Ten to poczciwiec pobiegł na poddasze do izdebki i on pierwszy ujrzał obraz straszliwej nędzy.

Chora kobieta na posłaniu w izbie nieopalonej, na nędznym posłaniu, a obok niej dwoje dzieci ledwie żywych, z ustami spieczonemi od gorączki.

Sprzęty były porozstawiane w nieładzie. Garnek zamarnięty z wodą, miseczki z niedojezoną strawą, świadczyły, że biedna nie miała żadnej usługi ani dozoru.

Józef zajął się natychmiast zrobieniem porządku, napalił w piecu i poszedł do znajomego lekarza. Doktor ten jednak, skutkiem wieku i długoletniej pracy, nie miał zupełnej władzy w nogach i dla tego nie odwiedzał chorych, tylko przyjmował u siebie.

Ale Józef tak go błagał i tak wymownie przedstawiał stan chorej i przyszły los sierot, że zacny lekarz wzruszony, wstał z łóżka, i za pomocą łaski i silnej ręki Józefa wyszedł z domu i wsiadł do powozu.

W kilka minut stanęli przed kamienicą, gdzie mieszkała chora wdowa. Ale tu nowa powstała trudność, jak wprowadzić tak wysoko człowieka, nie mającego władzy w nogach. Przemyślny Józef poradził sobie w tym razie i opbiegłszy na podwórze, przyprowadził ze sobą stróża domu do pomocy.

Obydwa wzięli doktora na ręce i wnieśli go ostrożnie po schodach. Cóż to za rozczulający był

widok starca i młodziana, poświęcających się dla obcej, nieznannej rodziny,

Wkrótce poczciwy chłopiec pobiegł z receptą do apteki, przyniósł lekarstwo i otoczył chorych najtroskliwszą opieką.

Znaleźli się też i litościwi sąsiedzi. Lekarstwo regularnie dawane, izdebka ogrzana, a przedewszystkiem łaska Boga, ocaliły matkę dla dzieci, a dzieci dla matki.

Wdzięczna wdowa do dziś dnia modli się za swoich dobrodziejów i mieszkać może jeszcze w tym samym domu, pracuje na utrzymanie swoich dzieci.

Oby ten przykład poczciwego Józefa zachęcił małych czytelników do spełniania uczynków miłosiernych i ćwiczenia się w miłości bliźniego.



Anielka.

Anielka, dziewczynka mała,
W ogródku kwiatków nasiąta,
I do nich biegła w ranki:
Czy też się kwiatki urodzą?
Czy będzie wiła z nich wianki?
Lecz darmo, kwiatki nie wschodzą,
Choć je wodą często kropi;
Więc biednej oczki łza topi:
Ach, daremna, rzekłszy, praca,
Do domu smutna powraca.
Lecz gdy nazajutrz przybiegła
Znów do sadku, wraz spostrzegła,
Jako tu i tam i wszędy,
Cienkie, jak koniec szydełka,
Powyklówały się z grzędy,
Kiełki, piórka i zdziebelka.
Tu jej w oczkach błysła radość,
Podskoczyła, klasła w rączki,
Lecz czyż było to jej zadość?
Nie, Anielka już pączki,
Przyszłych kwiatów widzieć żąda,
I roślinki za koniuszki,
Biorąc czempredzej w paluszki,
W około każdą ogląda;
Ale wszystko nic, to gorzej,
Iż, ażeby rosły sporzej,
Przeciągała je potrosze,
I cóż tem zyskała, proszę?
Oto, że za czas nie długi,
Poschły kiełki jeden w drugi,
A biedna, że kwiatki chciała,
Mieć prędko, żadnych nie miała.

W MROWISKU.

Cudowna bajka.

(Ciąg dalszy.)

— A cóż ja będę robił, gdy wyzdrowieję? — zapytał.

— To co dotychczas: będziesz naprawiał uszkodzone części mrowiska — odpowiedziała mrówka.

— A czy to koniecznie trzeba będzie pracować? — zapytał raz jeszcze.

Na to mrówki spojrzały na siebie, potem na Piotrusia — mrówkę; — w oczach ich znać było niezmiernie zdziwienie. Po pewnej chwili jedna z nich rzekła:

nie był, nie wiedział więc, czy one mają jaką spiżarnię i co w niej mają. Nie chciał się jednak do tego przyznać, pomyślał sobie, że mrówki pewnie go wzięły za jakąś inną koleżankę i pozostawił je w błędzie. Ponieważ jednak stał się już mrówką, a nie wiedząc, jak długo nią będzie, nagle przyszła mu wielka ochota poznać życie i całe gospodarstwo mrówcze. Zerwał się też na równe nogi, aż się mrówki przestraszyły i zawołał:

— O, ja już jestem zdrow i pójdę razem z wami do spiżarni!

Po tych słowach przeprowadzony przez kilka mrówek poszedł za nimi do spiżarni. Droga prowadziła krętymi korytarzykami do mrowiska.

Na ścianach tych korytarzyków sterczały ostre końce igieł sesnowych, patyczków i suchych



MRÓWKI I POCZWARKI.

— Ty, braciszku musisz być bardzo chory, musiałeś się dobrze potłuc. Może sobie głowę nadwężyłeś? Nie boli cię głowa?

— Nie, głowa mnie nie boli — odpowiedział zmieszany trochę Piotruś, bo spostrzegł, że mrówki z powodu jego pytania zaczynają go uważać za chorego na umyśle mrówczyn, to jest za waryata. Tak im się nienaturalnym wydało pytanie Piotrusia, że nie mogły nic innego przypuścić, jak tylko to że jest waryatem kiedy mu się nie chc epracować.

— Czy nie chce ci się jeść? — zapytały mrówki. — Może ci co przynieść ze spiżarni?

Piotruś nie wiedział co odpowiedzieć. Przecież on dopiero został mrówką i nigdy dotychczas nią

listków, bo z tego materiału były zbudowane korytarze.

Piotruś czuł, że idzie nadół, bo korytarz był dosyć stromy.

Po pewnym czasie spostrzegł, że ściany korytarza wyglądają zupełnie inaczej: były gładkie i w ziemi wryte, prawdziwe bowiem mrowisko mieści się dopiero w ziemi, w wrytych korytarzykach, a ta kupka z liści i igieł na wierzchu to jakby pierwsze piętro mrowiska. Gdy pada deszcz, lub słońce bardzo przypieka, przemyślnie mrówki chronią się do podziemnych swych pokojów. Tam też były i spiżarnie, do których wszedł Piotruś z towarzyszami.

Zapewne czytelnicy ciekawi są wiedzieć, co też mrówki mogą mieć w swoich spiżarniach. Co jest w spiżarni domowej, o tem wiedzą, czytelnicy bardzo dobrze. Wiedzą, że w spiżarni mama przechowuje mleko, szynkę, masło, mięso, miód itp. rzeczy, służące do jedzenia. Tak samo i w spiżarni mrówek Piotruś znalazł przeróżne rzeczy, któremi się karmią mrówki i których sobie podostatkiem nagromadziły. A więc były tam kawałki chrąbszaczka, glisty, okruszyny chleba, ziarna zboża, a nawet kawałek cukru, znaleziony na drodze i z wielkim trudem przyciągnięty tu przez setki pracownic. Takiego specyału mrówki nie opuszczają. Nie myślcie, mali czytelnicy, że tylko wy lubicie cukier i cukierki, niemniej od was lubią i mrówki te rzeczy i starannie je gromadzą skąd mogą, przewyciężając przy tem nieraz wielkie trudności. Gdy się zwiedzają o jakiejś słodyczy, wnet rozgłaszają tę wiadomość wszystkim mrówkom w swoim mrowisku i urządzają gromadną wyprawę na zdobycie tak ulubionego pokarmu. Trudności, jakie im mogą stanąć na drodze z podziwienia godną energią zwalczają pomagając sobie wzajemnie. Szczególniej przepadają one za sokiem mszyc. Mszyce są to owady małe z długimi nogami i smoczkiem, za pomocą, którego wysysają soki roślin, stąd są one bardzo szkodliwe. Ze siebie wydzielają słodki, lepki sok, zwany rosą miodową, która zasklepiając otworki w liściach, szkodzi im a tem samem i całej roślinie.

Mrówki niezmiernie lubią tę rosę miodową i żeby ją mieć, wiecie, mali czytelnicy, co robią?.. Oto napadają mszyce i żywe zawłóczą do swoich komórek w mrowisku, gdzie je jako więźniów trzy mają. Uwięzioną mszycę mrówki pielęgnują jak własne małe mrówiątko, dostarczając jej żywności, a za to ze smakiem zjadają rosę miodową, której uwięziona mszyca im dostarcza.

Piotruś obejrzał całą spiżarnię, przyjrzał się dobrze kilku mszycom, więzionym przez mrówki, do spróbowania jednak rosy miodowej nie miał ochoty wielkiej, choć go do tego zachęcały mrówki, natomiast z przyjemnością uszczypnął trochę cukru, a potem rzekł:

— No, teraz mogę iść odrazu do pracy!

Po tych słowach wszyscy ruszyli wesoło ku górze.

Przechodząc koło jednego podziemnego pokoju, Piotruś zobaczył, że leżą w nim jakieś małe kuleczki, nie większe od ziarenek piasku. Około tych kuleczek uwijało się mnóstwo mrówek-pracownic, które biorąc te kuleczki, wносиły je gdzieś ku górze. Zaciekawilo to małego, Piotrusia więc zapytał:

— Co to są te małe kuleczki i gdzie to je mrówki niosą?

(Dokończenie nastąpi.)



ŻYCIE I PRZYGOODY ŻABKI.



Według Brzezińskiego opowiedział F. Porąbka.

Pewnego wieczoru wyszedłem sobie za miasto, oby odetchnąć świeżem, wiosennem powietrzem.

Zmęczony, usiadłem nad brzegiem dość wielkiego stawu i przysłuchiwałem się rechotaniu żab, Nagle z wody wylazła mała żabka i przybliżyła się do mnie.

Dziwna to była żabka, nie dlatego, jakoby się różniła od innych jej towarzyszek, rechocących w stawie, ale że umiała mówić.

Przybliżywszy się ku mnie, bardzo uprzejmie mnie pozdrowiła i podziękowała mi za to, że ja w roku zeszłym obronił przed złymi chłopcami, którzy, spostrzegłszy ją, poczęli na nią rzucać kamieniami. Zapewne byliby ją zabili, ale na szczęście żabki nadszedłem i skarciłem swawolników, Za to żabka, jak mi powiedziała, jest mi bardzo wdzięczną a na dowód tego opowiedziała mi swoje życie i różne przygody, które ja też moim czytelnikom powtórzę. Być może, że wśród nich znajdą się i tacy swawolni chłopcy, którzy nie wiedząc, jaką korzyść przynoszą żabki, często z pustoty ciskali na nie kamieniami; myślę jednak, że po tem, co opowiem, a co mi opowiedziała sama żabka, zaniechają tej złej zabawy. Oto opowiadanie żabki:

„Urodziłam się w tem tu stawie, mówiła żabka. Rodziców moich, nie znałam nigdy; jak zaś dowiedziałam się później, to u żab jest taki zwyczaj, że rodzice ani się nie zajmują dziećmi, ani też wcale się o nie nie troszczą.

„Matka moja złożyła wśród sitowia tego stawu na jego brzegu, długi sznur ikry i odpłynęła sobie, zostawując nas na opiece słońca. Lecz nie trzeba się dziwić mojej matce, ponieważ bardzo trudno przyszłoby jej wychować tyle dziatwy, było nas bowiem chyba z kilka tysięcy maleńkich jajeczek.

Leżałyśmy z początku wszystkie razem na powierzchni wody podobne do czarnych, błyszczących paciorków, z których każdy był otoczony przejrystą galaretą.

Jak długo tak leżałam, tego nie wiem, ale sądząc po innych, myślę, że to musiało potrwać z kilka tygodni. Pamiętam tylko, że gdy po raz pierwszy zbudziłam się, jako naprawdę żyjące stworzenie, byłam tak głodna, że w jednej chwili rzuciłam się na otaczającą mnie galaretę i z wielkim apetytem poczęłam ją pożerać.

Zaspokoiwszy pierwszy głód, a widząc jasne słońceczko, błyszczącą powierzchnię wody i zielone brzegi stawu, zapragnęłam dostać się najprzód do wody, a potem chciałam pobuszować wśród tej zieleni. Lecz z przerażeniem spostrzegłam, że jestem

jakby uwięziona w galarecie. Poczęłam się też szarpać i rzucać na wszystkie strony, myśląc, że tym sposobem rozerwę te więzy przezroczyście i wydostanę się na Boży świat. Byłam jednak za słabą. Naszamotawszy się, zrozpaczona musiałam zaprzestać daremnych wysiłków. Dopiero po kilku dniach, kiedy już wzmogłam się na siłach znacznie, udało mi się wreszcie po długich szamotaniach rozerwać moje przejrzyste więzienie i wydobyć się na wolność.

Cóż to była za radość! Przedemną świat cały: ta woda, która zdała mi się nie mieć końca, to piękne, błękitne niebo nad głową, te lasy trzciny nadbrzeżnej, wszystko to wydało mi się tak pięknem i cudownem, żem z radości zupełnie zapomniała o głodzie, a rozweselona, jak szalona, pływałam koło brzegu i przyglądałam się tym ślicznościom.

A nietylko ja byłam tam sama.

Dokoła mnie i tak samo jak ja uradowane i ciekawe kręciły się moje siostry. Śmiać mi się chciało, gdy im się przyjrzałam. Bo i jak się tu nie było śmiać, kiedy tak zabawnie wyglądały.

Były to czarne istotki, z dużą głową i długim ogonem, ale bez nóg, jak rybki, śmiałam się też z nich szczerze, choć i ja sama taką byłam. Doprawdy! anim przypuszczała, że z nas kiedyś tak przyzwoite i porządne, jak się patrzy, powyrastają żaby.

Pływałyśmy też w wodzie, jak prawdziwe rybki i myszkowały po całym stawie: nie było miejsca, ani kąta, gdziebyśmy nie zajrzały; szczególnie ja musiałam wszystko zwiedzić, wszystkiemu się przypatrzeć. Z tej też zbytniej mojej ciekawości o mało nie spotkało mię raz wielkie nieszczęście. A było to tak:

Z ciekawości popłynęłam daleko, daleko i z wodą dostałam się w jakiś dołek. Nie znałam jeszcze tego miejsca, zaczęłam też oglądać dołek ze wszystkich stron. Podołał mi się zwłaszcza, że woda w nim była bardzo ciepła, i nie było ani jednej z moich towarzyszek, więc magłam sobie swobodnie pływać i wiercić się we wszystkie strony bez obawy uderzenia o wielką głowę, albo długi ogon której z moich towarzyszek.

W dołku dość długo się bawiłam; wreszcie spykrzyła mi się samotność: zapragnęłam wrócić do moich siostrzyczek. Lecz jakież mię okropny strach opanował, gdym spostrzegła, że w żaden sposób z dołka wydostać się nie potrafię! Przez ten czas słońce grzało silnie, i woda prędko wysychała, wskutek tego przerwało się połączenie wody z dołką z wodą w stawie. Krążyłam naokoło dołka, ale do stawu w żaden sposób nie mogłam się już dostać.

Żałowałam mocno mój lekkomyślności, lecz były to żale po niewczasie.

Już byłam bliską śmierci, bo woda coraz więcej wysychała i wkrótce było jej zaledwie trochę

na dnie. Widziałam, że bardzo prędko wyschnie zupełnie, a ja umrę, Wspominałam sobie moje siostrzyczki, swobodnie i wesoło pływające w stawie, wspominałam wodę czystą, sitowie na brzegu i z żalem wielkim żegnałam się z nimi, i gdy już myślałam, że śmierć niebawem nadejdzie, bo wody było tylko troszeczkę, nagle spostrzegłam, że się niebo pokryło czarnymi chmurami. Z tych chmur za chwilę spadł deszcz obfity: woda napełniła dołek, i ja czemprędzej uciekłam z niego i wydostałam się na głębie stawu, gdzie z radością powitałam moje towarzyszkę. (C.d.n.)

JĘDRUŚ LITOŚCIWY, ALE W JAKI SPOSÓB?

— Ulitujcie się nad kaleką! — mówił do przechodniów starzec o kulach. Głos jego pełen prawdy, oblicze nacechowane wielkiem cierpieniem wzruszyły idącego z matką Jędrusia. Chłopczyk wyjął portmonetkę, otworzył, była pusta! Zarumienił się, podbiegł do matki i poprosił o parę groszy; poczem wrócił i włożył jałmużnę swą w czapkę ubogiego.

— Niech cię Bóg błogosławi! — szepnął kaleka.

Podczas obiadu Jędrus opowiadał ojcu o tem spotkaniu.

— Czy dopomogłeś kalece? — spytał ojciec. — Czy dałeś jałmużnę?

— Dałem — odrzekł nieśmiało.

— Dałeś co prawda, ale nie ze swoich pieniędzy — odezwała się matka. — Jak zwykle tak i tym razem zażądałeś ich odemnie.

— Dlaczego to uczyniłeś? — spytał ojciec; — wszak dostajesz co tydzień swoją pensyjkę, z którą wolno ci robić, co ci się podoba.

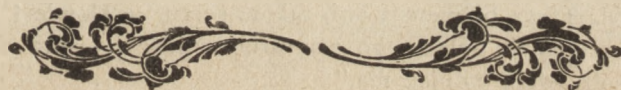
Jędrus zafrasował się i rzekł:

— Prawda ojcze, chciałbym dopomóc ubogiemu, ale cóż pocznę, kiedy zwyczajnie spotykam go wtedy, gdy w kieszeni nie mam już ani grosza.

— Dziwna to twoja litość, — rzekł ojciec. — Żal ci biednych, chciałbyś im dopomóc, ale łakomstwo bierze górę nad litością. Chciałbyś dopomóc ubogim, lecz nie myślisz o nich; a kiedy sam nie masz pieniędzy, prosisz o nie matki. Wygląda to tak, jakbyś zabierał jednemu, aby dawać drugiemu; takiego postępowania nazwać nie można litością.

Litościwym będziesz tylko wtedy, kiedy sam pozbawisz się przyjemności aby dopomóc biednemu.

Widocznie słowa ojca poskutkowały, gdyż od-tąd przechodząc koło ubogiego, Jędrus nie prosił już matki o pieniądze, lecz sam dawał jałmużnę.



MACIERZ POLSKATYGODNIK POWIEŚCIOWO-ILLUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, każdego tygodnia

Adres redakcyjny: **MACIERZ POLSKA,**
81 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOISPrzebiegata roczna wynosi \$1.00, — Pojedynczy numer 3 centy
lub miesięcznie 10 ctAdres administracyjny: **MACIERZ POLSKA,**
141-143 W. DIVISION STREET. CHICAGO, ILL.**MACIERZ POLSKA**AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE
Issued at Chicago every Thursday.Editor's address: **MACIERZ POLSKA,**
81 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month. Single copy 3 cents

Address of Business Office

THE POLISH PUBLISHING CO.

Publishers of

MACIERZ POLSKA

141-143 WEST DIVISION STREET, CHICAGO, ILLINOIS

DROGA DO NIEBA.

Matko moja! powiedzcie jeno,
Jaką do nieba trafić dróżną?
Czy ta jest droga żywota wieczna,
Co łśni na niebie jak wstęga mleczna?
Czy jaka inna ukryta może,
Która prowadzi w królestwo Boże?"
„Och, mój najmilszy, aniołku mały!
Ten promienisty gościniec biały,
Na którym jasną, wiosenną nocą,
Srebrne gwiazdeczki światłem migocą,
To tylko dla nas jako wzór święty,
Na lazurowym niebie napięty,
By droga nasza była tak biała,
Jak ta w błękitach wstęga wspaniała!
Kto chce do nieba trafić, o dziecię!
Ten drogę znajdzie i tu na świecie!
Miłość mu wrota raję otworzy,
A litość w kraj go zawiedzie Boży!
Och! mój aniołku! przed Tobą droga
Leży wiodąca do Pana Boga!
Nie zbaczaj jeno na ścieżki kręte,
Lecz powinności wypełniaj święte!
A gdy kres życia padnie na ciebie,
I ty gwiazdeczką zaślniesz na niebie!"

Władysław Bełza.

Nasz proroczy Skarga mówi: „Jako w zapismowanej skrzynce, co jedno z niej wyjmiesz, każda rzecz piżmem woni, tak w sercu, w słowie i w czynkach pobożnego wszystko miłością i sprawiedliwością wonieć ma.”

**CO PRZESZKODZIŁO PRZECHADZCE
WIKTUSIA Z DZIADUNIEM.**

— Dziaduniu, czy pójdziemy dziś na łąkę po kwiatki do ołtarzyka Serca Pana Jezusa — mówiła Wiktusia, całując w rękę i patrząc mu błagalnie w oczy. Dziadunio mi obiecał — pamięta dziadzio?

— Pamiętam dziecinko moja i chętnie bym obietnicę dotrzymał — ale cóż kiedy się jakoś chmurzy, pogoda nie pewna.

To mówiąc, dziadek wziął wnuczkę za rękę i wyszedł z nią na drogę przed chatę. Gorąco było niezmiernie, zdawać by się mogło, że słońce nie promieniami, ale żarem sypie na ziemię. Po chwili, od strony zachodu dał się słyszeć huk, jakby odległe coraz głośniejsze mruczenie. Po chwili zerwał się gwałtowny wicher, porwał z ziemi drobny piasek i zakręcił nim w powietrzu, jak gdyby się chciał zabawić. Ale biedna Wiktusia źle na tej zabawie wyszła, bo w jednej chwili miała pełne oczka prochu.

Powoli ze wszystkich stron, zaczęły się ukazywać na niebie ciemne chmury, wiatr zrywał się coraz częściej, łąkże słyhać było długi, przeciągły łoskot.

— Chodźmy do domu, wnusiu — burza idzie, rzekł dziadek.

— Czy będzie deszcz dziaduniu, spytało dziecko, patrząc dziadkowi w oczy.

— Będzie odpowiedział — ale nietylko deszcz — będą pewnie także błyskawice — już słyhać grzmot z daleka.

Zaledwie wymówił te słowa, aż tu na czarnych chmurach przeleciał jasny zygzag piorunu.

— Dziaduniu, ja się boję — szepnęła dziewczynka i pociągnęła dziadka czempredzej do wnętrza chaty.

— Nie bój się, drogie dziecko, rzekł dziadek siadając w swoim wysokim krześle i sadzając wnuczkę na swych kolanach; burza bywa wprawdzie czasem straszna, ale Pan Bóg miłosierny strzeże tych, którzy Go oto z ufnością proszą. Ludzie także starają się zapobiedz nieszczęściom, jakie sprowadzają pioruny. Wymyślili przyrząd, który się nazywa piorunochron i umieszczają go na domach. Piorun zamiast uderzyć w dach, uderza w ten piorunochron, a wtedy dom się nie zapala.

Wiktusia zaciekawiona, w jednej chwili zapominała o swoim strachu i obejmując dziadka za szyję zawołała:

— Dziaduniu najdroższy proszę mi to wytłumaczyć — dlaczego to tak jest, że piorun uderza w ten jakiś przyrząd a nie w dom? Jakże go do tego zmusić można?

— Dobrze wnuczko, z chęcią, ale w takim ra-

zie muszę ci w pierw wytłumaczyć, co to jest błyskawica i piorun i z czego się one biorą.

— Proszę dziadziu, proszę!

Dziadunio zapalił swoją długą fajkę, zasiadł głębiej w wielkim krześle i tak mówić zaczął:

— Przez długie bardzo lata, ludzie nie umieli sobie wcale wytłumaczyć, skąd się biorą błyskawice i grzmoty. Wymyślali nawet różne niemądre bajki i wierzyli w nie najzupełniej. I tak naprzykład: za czasów pogańskich, kiedy to ludzie jeszcze Pana Boga nie znali i modlili się do bożków kamiennych i drewnianych, do słońca, gwiazd i

Od dawna już ludzie wiedzieli, że jeśli potrzebować kawałek bursztynu o sukno, to ten bursztyn nabiera dziwnej siły: zaczyna przyciągać małe kawałeczki papieru, watę, słomki itd. Zaraz się przekonamy, że to prawda, bo oto matusia wraca z obory, pobiegnij do niej i poproś o bursztyny, które ona nosi na szyi.

Wiktusia wybiegła naprzeciw matki i po chwili wróciła ze sznurem bursztynów w rączkach. Dziadunio podał kawałek papieru na drobne kawałeczki i rozrzucił je po stole, potem wziął bursztyny, potarł je o swoją kapotę i zbliżył do pa-



WIERNY PRZYJACIEL.

zwierząt nawet — za tych czasów wyobrazili sobie, że jeden z bogów zwany Jowiszem, gdy się rozgniewa, rzuca po niebie i ziemi ognie i że to są właśnie błyskawice i pioruny. Grzmot zaś, to jest turkot wozu, którym się on po chmurach przejeżdża.

W późniejszych czasach, gdy ludzie przestali wierzyć w pogańskie bożki, tłumaczono sobie burzę inaczej, ale także fałszywie, Aż dopiero w XVIII stuleciu znaleźli się uczeni, którzy wreszcie zrozumieli i drugim wytłumaczyli co to są błyskawice, pioruny i grzmoty.

pierków. O dziwo! papierki jak żywe przyskakiwały, to odskakiwały znowu. A dziadzio mówił dalej:

— Teraz widzimy tylko, że bursztyn potarty przyciąga, ale gdy się ściemni, to zobaczymy, że z niego do papierków, przeskakują z szelestem małeńkie isierki. Tę dziwną siłę przyciągania, jaką posiada bursztyn po potarciu, nazwano elektrycznością, od wyrazu elektron, który w greckim języku znaczy właśnie bursztyn; zaś o tych isierkach przeskakujących z potartego bursztynu do papierków mówimy, że to są iskry elektryczne.

Jednak trzeba ci wiedzieć moje dziecko, że ta

elektryczność pokazuje się nietylko w potartym bursztynie — tak samo przyciąga papierki, lub inne drobne rzeczy, potarte szkło, lak, który używamy do opieczutowywania paczek na pocztę, twar- da smoła. itd.

Im większy przedmiot, który pocieramy i im go dłużej pocieramy, tem większe iskry będą z niego wyskakiwały, i już nie z szelestem, tylko ale z prawdziwym trzaskiem.

Przez długi czas bawiono się potartym bursztynem, szkłem, lakiem, ale ani się domyślano, czego tazabawa ludzi nauczy. Znaleźli się jednak wreszcie uczeni, którzy przypatrując się i tym iskierkom elektrycznym wyskakującym z bursztynu, laku itd. i błyskawicom ukazującym się na chmurkach spostrzegli, że kolor i kształt jednych i drugich jest zupełnie podobny, a różnica tylko na tem jednym polega, że iskierki bursztynu i szkła są małe, a błyskawice i pioruny bardzo, bardzo duże.

— Jakto! Dziaduniu, zawołała zdziwiona Wiktusia — więc te iskierki elektryczne z bursztynu mają być piorunami?!

— A tak! to są maleńkie pioruny, czyli — inaczej mówiąc — pioruny są to olbrzymie iskry elektryczne. Małe iskierki wyskakując z bursztynu, laku lub siarki, sprawiają mały łoskot — olbrzymie iskry piorunowe sprawiają straszny huk, który nazywamy grzmiotem.

Dziadek przerwał na chwilę opowiadanie, a dziewczynka zamyśliła się poważnie.

— Mój dziaduniu, rzekła wreszcie, — Dziadzio mówił, że iskry elektryczne wyskakują z potartego bursztynu, szkła, laku lub siarki — a teraz dziadzio powiada, że pioruny niebieskie i błyskawice, to są także iskry elektryczne; czyż na niebie jest gdzie lak, bursztyn, szkło albo siarka? Ja tego nigdy nie widziałam!

— Ani ja! roześmiał się dziadzio — ale za to pewnie moja droga wnusia widziała na niebie chmury — prawda? Otóż słuchaj: pewien wielki i sławny amerykański uczoney Benjamin Franklin nauczał, że w chmurach, gdy na dworze bardzo gorąco, zbiera się także ta dziwna siła elektryczna. Gdy chmury ciągnąc po niebie, zbliżą się jedna do drugiej, wtedy z chmury do chmury przeskakują elektryczne iskry, które my widzimy, jako błyskawice. — Gdy zaś chmura, która ma w sobie elektryczność przechodzi nisko nad ziemią, wtedy ta elektryczność w postaci iskry, spada już nie na inną chmurę, ale wprost na ziemię. Mówimy wówczas, że piorun uderzył. Iskry te przelatując przez powietrze, robią straszny huk, czyli jak nazywamy: grzmot.

— Tak nauczał Benjamin Franklin. Ale żeby ludzi przekonać, że się nie myli, trzeba im było

dowiedzieć, że naprawdę w chmurach zbiera się elektryczność.

Ale jakże tu się dostać do chmur? jak elektryczność z nich wyciągnąć? Franklin był bardzo przemyślny i w bardzo dowcipny sposób trudność tę rozwiązał. Aby ściągnąć elektryczność z chmur użył — wiesz czego? Oto pewnej ulubionej dziecinnej zabawki, która gdy ją puścić wzlatuje wysoko w górę. Zgadnij co to za zabawka?

— To pewnie latawiec! zawołała Wiktusia.

— Doskonale! bardzo domyślna moja wnuczka! "Latawiec," albo jak w niektórych okolicach dzieci nazywają "Orzeł". Otóż Franklin zrobił sobie popierowego latawca, z metalowymi drutami na końcach. Do jednego druta przymocował jedwabny sznurek i tym jedwabnym sznurkiem przywiązał latawca do drzewa, żeby go wiatr nie parwał.

— A dlaczego jedwabnym, a nie zwyczajnym? zapytała Wiktusia.

— Dlatego dziecko, że po zwyczajnym konopnym sznurku elektryczność z latawca zesłaby do drzewa, a z drzewa w ziemię; zaś jedwab ma tę własność, że elektryczności przez siebie nie przepuszcza.

— Rozumiem dziadziu — i cóż Franklin dalej zrobił?

— Wziął potem kawałek zwykłego konopnego sznurka, przymocował go do metalowego drutu od latawca i uwiesił na tym sznurku klucz. Gdy się miało na burzę i chmury zebrały się na niebie, Franklin zbliżył do klucza żelazną laseczkę i wnet wielkie iskry przeskakiwały z trzaskiem z klucza do laseczki. Były to iskry elektryczne, ściągnięte z chmur, przez bujającego wysoko latawca, I takim to sposobem Franklin przekonał ludzi, że w chmurach, gdy jest gorąco powstaje siła elektryczna i że pioruny są wybuchem tej siły.

— A teraz, czy moja wnusia ukochana wie, nad się biorą błyskawice, pioruny i grzmoty; czy sobie to wszystko zapamięta?

— Rozumiem, rozumiem i zapamiętam dziaduniu! — ale ja się przecie jeszcze wszystkiego nie dowiedziałam. Dziadzio coś mówił, o jakimś przyrządzie, który nie pozwala piorunom pożarów robić.

— A prawda, ale to już zostawimy na jutro, bo już się późno robi, a oto Matusia z kolacją do nas idzie.



DWIE POTĘGI.

POWIEŚĆ Z CZASÓW DYOKLECYANA.
Przez Teresę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

Choć żebraczka miał odzież na sobie, nie pochylał się do paniczów z prośbą o jałmużnę, tylko zwrócił spojrzenie na odpoczywających robotników.

Nagle głos trąby rozległ się w powietrzu. Był to sygnał, że godzina odpoczynku już minęła. Na dziedzińcu jedni spieszej, drudzy powolniej wstać zaczęli, aby wziąć się z powrotem do pracy.

Pomiędzy tymi, którzy zdawali się ochotnie dążyć do ciężkiego zajęcia, odznaczał się wysmukłą postawą spokojem i godnością ruchów młody chłopiec, lat ośmnaście liczyć mogący. Krokiem lek kim postąpił do wielkiego dołu, w którym wapno się znajdowało, i nabrawszy pełen szkopek tego materiału, ku budynkowi się zwrócił.

Naraz przystanął, podniósł oczy i zatrzymał spojrzenie na żebraku, stojącym obok dwóch patrycyuszów.

Coś dziwnego stało się z nim w tej chwili: zbladł potem zarumienił się, oczy jego zabłyśły radością, na ustach zjawił się uśmiech.

Ale radość ta była krótką, gdyż wnet smutek powlókł twarz młodzieńca, z widocznym współczuciem wpatrzył się w łachmany żebraka, i zdawało się, że go o coś zapyta.

W tej samej jednak chwili zabrzmiał tuż surowy głos dozorczy:

— Do roboty!

I młody chłopiec podążył ku rusztowaniu, odpasującemu termy.

Dwaj patrycyusze zwrócili uwagę na dorodnego robotnika.

— Jestem pewien, że to on — rzekł naraz jeden z nich. — Ażeby cię przekonać, że się nie mylę, zapytam o jego imię.

T o powiedziawszy, zawołał, zwracając się do dozorczy:

— Kalinusię!

Na to wołanie wysunął się z pomiędzy innych dozorców człowiek o niemiłym spojrzeniu, posępny, z białym w ręku.

— Jestem — rzekł, podchodząc z ukłonem.

— Który z robotników twoich jest synem wielkorządcy Virinusa? — zapytał młodzieniec.

— Ten, który niesie w tej chwili wapno starszym mularzom — odparł dozorca.

Żebrak pogonił wzrokiem pełnym smutku za Marcelinem, a patrycyusz dodał:

— Podobieństwo do ojca zdradziło go.

— Więc tak nisko upadli? — zapytał towarzyszy panicza.

Na ustach żebraka, pojawił się uśmiech pełen litości; westchnął cicho i oddalił się w stronę katakumb.

Szedł pogrążony w myślach, wtem na zakręcie ulicy spotkał się z trzema kobietami, z których jedna poważna wiekiem, w czarnej szacie, oparta była na ramieniu młodej dziewczyny, ubranej w płaszcz ciemny, wełniany. Te dwie wyprzedzała niewiasta w sile wieku, również płaszczem ciemnym otulona. Była to Julia.

W Rzymie zwyczajną rzeczą było spotkać ludzi w łachmanach, gdyż jedni w zbytkach tonęli, drudzy w nędzy. Julia, idąc widocznie w jakimś ważnym celu, minęła pośpiesznie żebraka, wracającego od term, lecz dążące za nią Lena z Sylawią zatrzymały się nagle.

— Mamo, to Stabor — szepnęła dziewczynka, rumienią się lekko i wskazała biedaka oczyma.

Ten zmieszał się, przystanął i wzrokiem niepokojnym obiegił ulicę. Prócz trzech kobiet nikt więcej nie było na niej, więc odzyskał spokój i podszedł do Leny.

Był to istotnie Stabor.

— Powiedźcie mi, gdzie mieszkacie, odwiedzę was wieczorem — rzekł — widziałem Marcelina.

— Gdzie? — szepnęła Sylvia.

— Pracuje przy termach Dyoklecyana.

— Tam też dążymy — rzekła Lena.

— Ostrożnie, ktoś idzie — dodała Julia, która, spostrzegłszy, że towarzyszki jej zatrzymały się, wróciła do nich.

— Mieszkamy u matki Weroniki razem z dobrym Sali, na ulicy do katakumb wiodącej — szeptała Sylvia — czekać cię wieczorem będziemy.

Stabor zgiął się nisko, jakby za jałmużnę dziękował i podążył swoją drogą.

Kobiety pospieszyły do term.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZADANIA I ZAGADKI.

SZARADA.

1.

Pierwszego unikaj, bo cię sparzyć może;
Drugie ciszy pragnie. Trzecią z drugą złożę,
To wszystkim ogłasza,
że całość jest nasza
Miasto wielkie, śliczne.
Ma pamiątki liczne.

2.

Pierwsze parzy, drugie jeździ zwykle w mieście.
Wszystko nosi Chińczyk, przystoi niewieście.

LAMIĞŁÓWKA SYLABOWA.

ulożona przez Włodzia S.

Z następujących sylab ułożyć 15 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i

przydomek jednego ze sławnych królów polskich.

Sylaby: ber, he, wi, sa, sław, lin, ran, las, le, zja, ce, e, nik, rzym, ni, wa, rak, o, py, ba, o, ka, ku, na sta lar a, ław, sław, y.

Znaczenie wyrazów: 1. Stolica Prus. 2. Owad. 3. Zbiór drzew. 4. Imię żeńskie. 5. Imię męskie. 6. Sprzęt domowy. 7. Część świata. 8. Rzeka w Polsce. 9. Narzędzia do mlócenia. 10. Imię żeńskie. 11. Główne miasto we Włoszech. 12. Gatunek węża jadowitego. 13. Zwierzę domowe. 14. Skorupiak. 15. Samogłoska.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NUMERU 21-GO.

Szarada: — Kar - me - lek.

Zagadka: — buk, łuk, huk, żuk.

Figiel: — Człowiek, mający sześć łokci, bardzo łatwo wejdzie bez schylania się w drzwi trzyłokciowej wysokości, bo posiada: dwa łokcie u rąk, jeden składany w kieszeni (miarka) i trzy łokcie wzrostu.

Trafne rozwiązanie szarad i zagadnień nadesłali: F. Lewińska, J. Tempieński, E. Barwig, J. Rabicka, Leok. Jaśkowiakówna, An. Gehrke, K. Wilczewski, P. Tempieński, M. Błaszczńska, M. Blochówna, Ig. Bloch, A. Srokówna, Pel. Suwalska.

Z NASZEJ KORESPONDENCYI.

Chicago, dnia 1 czerwca, 1907 roku.

Kochany Przyjacielu!

Ponieważ nie wzgardziłeś fiołkiem, to ufam, iż nie wzgardzisz i głosem słowika. Nie zaśpiewam Ci jednak wesoło, lecz żałośnie.

Jestem uczniem szkoły św. Stanisława Kostki. Dawniej, gdy szkoła była, obchodziliśmy święta narodowe bardzo uroczyście. W dzień Kościuszki i Washingtona, w dzień wienienia grobów, Trzeciego Maja, rocznicę Konstytucji, w rocznicę powstania listopadowego, klasa nasza zawsze była przystrojona chorągiewkami polskimi i amerykańskimi, wstążkami białymi i czerwonymi. Na taki dzień uczylśmy się różnych wierszy i pieśni; mieliśmy rozłożone okazy wypracowań szkolnych i rysunków.

Zapraszaliśmy Wiel. Ojca Proboszcza, Wiel. Ojca Rektora szkoły i innych księży, jakoteż Wielebne Siostry. W tym roku nie możemy obchodzić żadnych świąt narodowych, bo nie mamy szkoły. Gdybym jednak słyszał, jak inni je obchodzą, tobym się tak cieszył, jakbym był pomiędzy nimi. Dlatego myślę, że Ty, kochany Przyjacielu, któremu ufam bardzo, postarasz się jakoś, ażeby dzieci z innych szkół nadesłały do Macierzy Polskiej opis obchodu, jaki mieli w dzień wienienia grobów, który był parę dni temu. Jak się postarasz o opisy, nie obchodzić mię wcale. W Macierzy szukać będę ich pilnie.

Z uszanowaniem

Słowik, ze szkoły św. Stanisława Kostki.

Kochany Przyjacielu!

Czytam Macierz Polską i z niecierpliwością oczekuję każdego nowego numeru. Podobają mi się powiastki, umieszczone w Macierzy, ponieważ zawierają doskonałe nauki, których już nieraz korzystałam.

Pogadanka o soli i igle bardzo były zajmujące. Działek, który pouczał swoje wnuczki musiał być dobry i miły starowina.

Dziękuję Przyjacielowi za ustęp o wstążeczce. Nasze je na sobie każdy dzień, a nie miałam pojęcia, że w taki sposób są wyrabiane. Będę teraz oszczędzała wstążeczki, bo wiem, ile to rąk przy nich pracowało.

W tym roku przystąpię do Pierwszej Komunii św. Te go dnia nie mogę się wcale doczekać.

Bardzo proszę Przyjaciela o umieszczenie jakiego przykładu, odnoszącego się do Pierwszej Komunii św; lubię czytać jak to Pan Jezus nagradzał dobre dzieci. gdy po raz pierwszy do ich serduszka wstępuje.

Wraz z tą prośbą posyłam kochanemu Przyjacielowi moje uszanowanie.

Irena Bardońska, uczennica szkoły św. St. K.
Chicago, dnia 27 maja 1907 roku.

Kochany Przyjacielu!

Jestem uczennicą szkoły św. Stanisława Kostki w Chicago i czytelniczką Macierzy Polskiej. Donoszę kochanemu Przyjacielowi smutną wiadomość. Zeszłego tygodnia w piątek, pożegnała się z tym światem jedna z moich koleżanek i współuczennic Różia Rybka. Pogrzeb odbył się 27 maja w kościele dolnym. Cała nasza klasa była na Mszy św., którą odprawił wiel. ksiądz F. Siara C. R. św. p. Różia była dobrą dlatego też była przez nas kochaną i nie zapomniemy jej w modlitwie. Różia należała do grona tych dzieci, które w tym roku mają przystąpić do Komunii św. Lecz niestety, wyprzedziła je, ponieważ przyjęła pierwszą Komunię św. na łożu śmiertelnym. Trzy razy tylko była na nauce, którą mamy jako przygotowanie do Spowiedzi i Komunii św., a którą kieruje wiel. ks. F. Ładoń, rektor naszej szkoły. Jeżeli kochany Przyjacielu umieści liścik mój w Macierzy, to może inne dzieci, czytając go, dołączą wieczny odpoczynek za jej duszę, a to jest moim gorącym życzeniem.

W smutku pogrążona, pozostaję z uszanowaniem
Cecylia Niedźwiecka.

Chicago, dnia 27 maja 1907 roku.

Kochany Przyjacielu!

Ponieważ liściki sprawiają kochanemu Przyjacielowi wielką przyjemność więc i ja chciałabym tę przyjemność powiększyć swoim liścikiem. Chętnie czytuję Macierz Polską. Najprzód patrzę, czy tam Przyjacielu nie umieścił zagadek lub szarad, nad którymi sobie głowę łamię. Potem czytam także powiastki.

Z numeru 21-go najlepiej podobała mi się powiastka pod tytułem W mrowisku. Ja sama lubię się przypatrywać mrówkom, jak wychodzą i wchodzą do mrowiska. Raz widziałam, jak mrówka ciągnęła do mrowiska dość długą słomkę i bardzo mnie to dziwiło, że to małe stworzonko takie mocne. Bardzo jestem ciekawa końca tej powiastki.

Z szacunkiem

Wikcia Ziółkowska, uczennica ze szkół św. St. K.

ODPOWIEDZI PRZYJACIELA.

Wikci Ziół. — Masz dobre serduszko, kiedy lubisz innym sprawiać przyjemność. zachowaj zawsze tak dobre serce bez względu na to, czy ludzie odplacą ci za nie. Pamiętaj, że najprzyjemniejszą rzeczą dla człowieka jest to przekonanie, że się jest dobrym i pożytecznym dla innych Mrówka, którą obserwowałaś, niech ci będzie przykładem do wytrwałości w pracy i przeciwnościach.

Cec. Niedz. — Smutną doniosłaś przyjacielowi wiadomość o śmierci swojej koleżanki, lecz o ile Przyjacielu zażyczył się tą wiadomością, o tyle znów ucieszył się, czytając, że wszystkie kochałyście zmarłą i że o niej nie zapominaś w modlitwie. Myślmy też, że i inne dzieci przyłączają się do twoich modłów, za co dusza zmarłej będzie wam wdzięczną.

Irenie Bard. — Bardzo to przyjemnie jest dowiedzieć się przyjacielowi, że z niecierpliwością oczekujesz M. P.

i że z powiastek korzystasz. Przyjaciel cieszy się również z twego szczęścia, jakie cię czeka w dzień Pierwszej Komunii św. Redaktor M. P. pewnie uwzględni twoje życzenie i napisze o Pierwszej Komunii św. Dziaduś musiał się pewnie zaziębić, kiedy chwilowo przestał pouczać dzieci, ale napewno będzie pisał jeszcze.

Słowikowi. — Naprawdę, że tęskno śpiewasz, mój Słowiczku, ale przyczynę rozumiem. Mam też nadzieję, że dzieci z innych szkół, napiszą do Przyjaciela, opisując jak też one obchodzą nasze święta narodowe. Dzieci, czy nie poruszy was smutny śpiew słowika? Napiszcie więc do Macierzy Polskiej, jak obchodziliście w waszych szkołach uroczystości narodowe i pociescie tem tak waszego Przyjaciela, jak i Słowika, żeby nam na drugi raz weselej zaśpiewał.

OPISY OBRAZKA Z N-RU XX.

Ponieważ nadesłano nam kilkanaście opisów obrazka p. tytułem „To moje”, więc będziemy tu po kolei podawać te opisy. Czytelników zaś prosimy, aby sami osądzili, który z tych opisów będzie najlepszy. Autor, czy autorka takiego opisu otrzyma w nagrodę ładną książkę.

TO MOJE!

Ośmioletni Kazio i trochę młodszy od niego Adaś chodzili do początkującej klasy. Byli dobrymi dziećmi i kochali się, chociaż lubili się kłócić. Przy końcu roku szkolnego zdali egzamin do pierwszej klasy, z czego rodzice bardzo się cieszyli i postanowili zrobić im przyjemność. Uradzili wreszcie zabrać ich na wieś. Na drugi dzień rozpoczęły się przygotowania. Kazio i Adaś, usłyszawszy, jak spędzą wakacje, nie mogli si ędość nacieszyć. Na wsi N., gdzie mieli spędzić wakacje mieszkał ich stryj. Przyjechawszy do wsi, dzieci się grzecznie z nim przywitały i zaraz wybiegły na dwór. Widząc niedaleko mały lasek pobiegły się bawić.

Codzienn rano wychodzili po śniadaniu, bosu w pole. Raz zobaczyli na drodze coś błyszczącego. Dalejże jeden przez drugiego, krzycząc „to moje”. Adaś, gdy Kazio bliżej przyczołgał się do monety, łapie go za czuprynę i przytrzymuje nogą jego nogi. Ale i Kazio nie głupi. Złapał Adasia za rękę i nie pozwala mu nią ruszyć. Gdy tak się obydwoj szamocą, ludzie, którzy pracowali w polu, pękają ze śmiechu. Który z nich dostał monetę, nie wiem, bo obrazek nie podaje.

Jan Burda, uczeń szkoły św. Stanisława Kostki.

Było to w maju; dzień był wesoły i pogodny, dlatego też i dzieci nie bawiły się w domu, lecz na podwórku.

W tak pięknym dniu Staś i Franuś wybrali się na przechadzkę. W drodze rozmawiali o tem, jak spędzą wakacje wraz ze swoimi starszymi braćmi.

Wtem Staś spostrzegł pieniądz leżący na chodniku, a więc rzucił się, aby go podnieść prędzej od Franusia. Potem poczęli się dwaj mali przyjaciele czubić, krzycząc: „To moje!” Przez długi czas wydzielali sobie pieniądz, aż wreszcie nadszedł pewien podróżny i dowiadując się, o co chodzi, rzekł: „Dzieci, jak to nieładnie, że się tak czubicie. Oto przeprosicie się zaraz, a jeżeli chcecie skorzystać z tej monety, idźcie do kościoła i ofiarujcie ten pieniądz na sieroty, a Pan Bóg wam to nagrodzi.”

Dzieci zawstydzily się, przeprosily się zaraz i usłuchały rady poczciwego człowieka.

Zgoda buduje, — Niezgoda rujnuje!

B. Landmesserówna, uczennica szkoły N. M. P. An.

Macierz Polska w Stanach Zjednoczonych AMERYKI PÓŁNOCNEJ,

p. o. Najśw. Maryi Panny Królowej Korony Polskiej

Organizacya łącząca młodzież polską obojga płci w pracach naukowych, patriotycznych i bratniej pomocy dla podniesienia ducha moralności i dobrobytu w społeczeństwie a szczególnie między młodzieżą polską.

Założona dnia 1go października, 1897 roku.

Inkorporowana przez Stan Illinois, dnia 4go września, 1903 r

Obdarzona Błogosławieństwem Ojca św., Piusa X, dnia 30-go czerwea, 1906 r.

BIURO GENERALNE:

141-143 W. Division St.

Chicago, Illinois

ZARZĄD GŁÓWNY:

KS. FRANCISZEK GORDON, C. R., Moderator; JULIAN SZCZEPAŃSKI Prezes; AGNIESZKA NERING, I Wice-prezeska; MAKSYMILIAN BROCHOCKI, II Wice-prezes; WINCENTY J. JÓZWIAKOWSKI Sekretarz Główny; WŁADYSŁAW SZTANKA, Skarbnik; PAWEŁ P. KUCHARSKI, Dyrektor; JULIAN J. NEJMAN, Dyrektor; FELIKS AUGUSTYNOWICZ, Dyrektor; FRANCISZEK SIATKOWSKI, I Marszałek; JAN SZPEKOWSKI, II Marszałek.

KS. FELIKS ŁADOŃ, Redaktor; DR. BOLESŁAW KLARKOWSKI Lekarz Główny; LUDWIK JANKOWSKI, Dyrygent Muzyki i Śpiewu; TEOFIL GORDON, Asystent Sekretarza Głównego; IGNACY CIESIELSKI, Bibliotekarz i Zarządca Klubu; N. L. PIOTROWSKI Doradca Prawny.

Posiedzenia Zarządu Głównego odbywają się w 2gi wtorek miesiąca wieczorem.

Godziny ofisowe Sekretarza i Skarbnika Głównego w Biurze Generalnem:

W każdy poniedziałek i w każdy piątek od godziny 7-mej do 9-tej wieczorem.

Klub Macierzy Polskiej, dla członków organizacyi otwarty co wieczór, od godziny 7-mej do 10-tej. W niedziele, od godziny 3-ciej popołudniu.

Do Macierzy Polskiej może należeć każdy Polak lub Polka religii rzymsko - katolickiej, liczący lub licząca mniej niż 45 lat wieku swego.

Nowe oddziały Macierzy Polskiej formować się mogą na porozumieniem się ze Zarządem Głównym Macierzy Polskiej. Osoby chcące się zająć organizowaniem nowego oddziału muszą otrzymać na to pisemne pozwolenie od Zarządu Głównego Macierzy Polskiej, który udzieli odpowiednich instrukcyi, a po uformowaniu oddziału i załatwieniu formalności, wyda dyplom, na mocy którego oddział otrzyma prawa i przywileje organizacyi.

Każdy nowo-wstępujący składa przed formalnem złożeniem przysięgi następujące opłaty: wstępne stosownie do wieku, za odznaki, za kwitaryusz, za konstytucyę i podatek miesięczny regularny, za czas od chwili przyjęcia go na posiedzeniu przez głosowanie. Opłaty wstępne są następujące: do lat 15 nieskończonych 50c.; 16: 60c.; 17: 70c.; 18: 80c.; 19: 90c.; 20: \$1.00; 21: \$1.10; 22: \$1.20; 23: \$1.30; 24: \$1.50; 24: \$1.40; 25: \$1.50; 26: \$1.60; 27: \$1.70; 28: \$1.80; 29: \$1.90; 30: \$2.00; 31: \$2.20; 32: \$2.40; 33: \$2.60; 34: \$2.80; 35: \$3.00; 36: \$3.20; 37: \$3.40; 38: \$3.60; 39: \$3.80; 40: \$4.00; 41: \$4.40; 42: \$4.80; 43: \$5.20; 44: \$5.60; 45 nieskończonych: \$6.00.

Kwitaryusz 10c. Konstytucyja 10c. Odznaki dla mężczyzny \$1.00. Odznaki dla pań \$1.25. Podatki: regularnie co miesiąc na fundusz obrotowy 10c., assesment regularny na pośmiertne co miesiąc 10 centów.

Assesment nadzwyczajny nakłada się stosownie do wypadków śmierci obliczając i rozkładając sumę wypłacić się mająca, na równy wydatku na pośmiertne, na każdego członka z doliczeniem jednego centa do każdego wypadku.

Oddziały podwładne mają prawo ustanawiać dla siebie wsparcia w chorobie i w tym celu ustanawiać dla siebie podatki.

W przypadku śmierci członka Macierzy Polska płaci spadkobiercom za każdy miesiąc przynależności członka do Macierzy Polskiej i opłacenie wszystkich podatków, sumę \$10.00, stopniując aż do wysokości \$500.00 biorąc jako podstawą w obliczaniu wysokości pośmiertnego opłaconego assesmentu miesięcznego.

Podajcie Nowe Adresa.

Członkowie Macierzy Polskiej mają niezwłocznie uwiadomić Administrację Macierzy Polskiej o każdej zmianie swego adresu, inaczej nie będą otrzymywali "Macierzy" regularnie.

Zmianę adresu należy przesłać na karcie pocztowej, podając dokładnie imię i nazwisko, stary adres i nowy, numer domu, ulicę i miasto, oraz dołączyć nazwisko Oddziału i numer swej książeczki podatkowej. Kartkę adresować:

MACIERZ POLSKA

141-143 W. Division St. CHICAGO.

Poczta upomina się o nowe adresy następujących:

Oddział I.

- Nr. 59. W. Mikołajewski.
Nr. 84. A. Modrzejewski.
Nr. 113 Józ. Dolatowski. ,

Oddział II.

- Nr. 131. Fr. Bieszka.
Nr. 124. Stan. Kuliński.

Oddział III.

- Nr. 5. Piotr Sentowski.
Nr. 48. Jan Galiński
Nr. 112 Józ. Krawiecki
Nr. 135 F. Szymkowski

Oddział IV.

- Nr. 139. Stan. Lipiński.

Oddział V.

- Nr. 79. Józef Jelesiński.
Nr. 80. Franciszek Gramza.
Nr. 85 Paweł Dorsch.
Nr. 94. Franciszek Ficht.
Nr. 100. Józef Rządowski.
Nr. 107. Józef Murawski.
Nr. 134. Jan Łepeć.
Nr. 141. Ignacy Grenwald.
Nr. 151. Bolesław Roda.
Nr. 166. Idzi Bartnik.
Nr. 183. Franciszek Grzonkowski
Nr. 184. Michał Polek.

Oddział VI.

- Nr. 132. L. Szarmański

Oddział VII.

- Nr. 23. Anast. Czepek
Nr. 31. Winc. Młodzikowski.
Nr. 101. Stef. Ceglarski

Oddział VIII.

- Nr. 51. Jan Fudema.
Nr. 67. Michał Gadacz.
Nr. 80. Wład. Michela

Nr. 95. Jan Wolff.

Nr. 99. Franc. Wolff.

Nr. 113. Roman Gadacz

Oddział IX.

- Nr. 10 Salomea Kiecal
Nr. 145. Pelagia Janowiak
Nr. 189 Anast Pełkowska.
Nr. 240. Helena Moza.

Oddział XII.

- Nr. 5. Franc. Brzozowska.
Nr. 6. Stanisława Dryll.
Nr. 14. Marya Kuzyusz.
Nr. 131. Ewa Socka.
Nr. 140. Marta Bieszka.
Nr. 152. Agn. Guzikowska.
Nr. 154. Stan. Tobaczka.
Nr. 174. Weronika Dryll.
Nr. 194. Franciszka Laska.
Nr. 219. Kar. Kijeńska.

Oddział XIV.

Nr. 26. Fran. Skotnicki.

- Nr. 37 Józef Kunka,
Nr. 44. J. Bakanowicz.
Nr. 56. Ant. Jarzyna.
Nr. 79. Józef Jakubek.
Nr. 83. T. Gnaciński.
Nr. 94. Jan Kabaciński.

Oddział XV.

Nr. 79 Marya Przybek

Oddział XVIII.

Nr. 33. Marya Konwińska

Oddział XIX.

- Nr. 7 Broniśł. Górniak
Nr. 34 Edwarda Rickowska
Nr. 43. Paulina Mroczek.
Nr. 44 F. Rickowska,

Oddział XX.

- Nr. 16 Franc. Serba,
Nr. 42 Marya Huntowska,
Nr. 60 Franc. Santowska,
Nr. 61 Pel. Kwiatkowska,
Nr. 73. Marta Jażdżewska.
Nr. 74. Marya Górńska.
Nr. 79 Marya Gackowska.

Urzędowe zawiadomienie.

Niniejszem zawiadamiam szanownych urzędników i członków Macierzy Polskiej, że w miesiącu czerwcu b.r. nie będzie nadzwyczajnego podatku na pośmiertne a zatem opłaty do Kasy Głównej w miesiącu czerwcu b.r. wynosić będą 20 centów.

W. J. Józwiakowski,

21-V 07

Sekr. Główny.

OMYŁKA, BŁĄD I FAŁSZ.

(Powieść wschodnia.)

Pewien sędziwy Arab miał trzech synów. Czując się bliskim zgonu, chciał jednemu z nich zostawić swe mienie i błogosławieństwo; dwom pozostałym zaś pewną część trzód swoich. Zwyczaj odwieczny w jego rodzinie, kazał majątność oddać nie najstarszemu, lecz najgodniejszemu. Ale jakże odgadnąć, który najgodniejszy? Serce ojcowskie wszystkich trzech zarówno miłowało.

Postanowił przeto starzec odbyć pielgrzymkę do Mekki i w gorącej modlitwie u grobu proroka, o natchnienie prosić.

Przed wyjazdem przywołał synów do siebie, a uwiadomiwszy ich o swoim zamiarze, rzekł:

— Tobie, Ali zwracając się do najstarszego — oddaję pieczę nad całym moim mieniem do mego powrotu, mam nadzieję, że wróciwszy zastanę wszystko w należytym porządku!

— Tobie Achmecie, powierzam mych biednych; jedni co tydzień dostają jałmużny, innym rozdałem odzienie, onych ze stołu mego żywiłem; wiesz o nich, zastąp mnie. Sądzę, iż nieobecności mej nie uczują.

— Ty najmłodszy jesteś Osmanie, tobie najłatwiejsze wybrałem żądanie. Znasz sługę mego Jusufa; lat pięćdziesiąt spędził w mych usługach; niemoc złamała jego siły, choroba do łoża przykuła. Co dzień go odwiedzam i pocieszam starość jego; co dzień noszę mu lekarstwo, które dla niego lekarz Frank zostawił, przynosi mu ono ulgę w cierpieniach jego. Zastąp mnie przy nim, mój synu, a Allah trud twój nagrodzi.—Poczem wyjechał starzec, Czekało go długo, bardzo długo. Wreszcie powrócił, i znowu do siebie przywołał synów.

— Ojciec — odrzekł zapytany o stan majątku Ali — mienie Twoje w dobrym stanie; pomnożyłem nawet twe trzody. Pewnego poranku przybłąkały się do nas cudze wielbłądy; kazałem je schwy-

DZIENNIK CHICAGOSKI

NAJSTARSZE I
NAJPOPULARNIEJSZE DZIENNE
PISMO POLSKIE W AMERYCE.

WYCHODZI CODZIENNIE
z wyjątkiem niedziel i świąt,
o 8miu wielkich stronicach.

Podaje dziennie wszystkie wiadomości telegraficzne z całego świata.

Na żądanie posyła trzy egzemplarze na okaz.

Cena na prowincyi:

\$3.00 rocznie, \$1.50 na pół roku,
75c na kwartał, 25c na miesiąc.

W mieście Chicago:

45c miesięcznie.

U roznościeleli egzemplarz 1c.

Pieniądze można przysyłać przez Money Order lub w jednocentowych znaczkach pocztowych.

Drukarnia

Dziennika Chicagoskiego

wykonuje wszelkie prace w zakresie drukarskim wchodzące, szybko, gustownie i tanio.

Księgarnia

Dziennika Chicagoskiego

ma na składzie książki wszelkiego rodzaju. — Katalogi na żądanie.

Wszelkie zamówienia należy przysyłać pod adresem:

The Polish Publishing Co.,
141-143 West Division Street,
CHICAGO.

"Gazeta Polska w Chicago"

najstarsze czasopismo polskie w Ameryce
założone w roku 1873.

PRENUMERATA ROCZNA \$2.

Najstarsza Księgarnia Polska w Ameryce

zaopatrzona w książki wszelkiego rodzaju. — Katalogi wysyłamy darmo na żądanie.

Najstarsza i największa Intro-
ligatornia Polska w Ameryce,
wykonuje wszelkie prace w za-
kresie introligatorskim wchodzące.

Po wszelkie szczegóły piszcie pod adresem

W. Dyniewicz,
532 Noble ul., Chicago, Ill.

tać — miesiąc nikt nie żądał ich zwrotu. Po miesiącu przyszedł sługa jakiś i w imieniu pana swego o wielbłądy się upominał. Ja ich nie oddałem, pasły się na pastwiskach naszych — nasze być winny.

Achmet rzekł: — Biedni Twoi zadowoleni; wszak sam widziałeś dziś, do domu się zbliżając, jak po ilem biedną, ciemną sierotę.

— Widziałem to dzisiaj — odparł starzec smutnie. — Ale wczoraj, gdy o stałę stąd odpoczywałem w palmowym gaju, ujrzałem, przez ciebie niewidzialny, jak nie litościwie odtrąciłeś kalekę, której nieraz u stołu mego żywiłem.

Zbliżył się nieśmiało Osman.

— Nalżejszą mi dałeś pracę, ojczy, przecie i tej sprostać nie zdołałem. Co dzień odwiedzałem wiernego sługę twego; żywność i leki mu nosiłem. Pewnego wieczora w mojej obecności mocno zaniemógł, pobiegłem spieszenie do namiotu twego po wiadome leki; lecz w pośpiechu i trwodze chwyciłem inną flaszkę; a gdy płynem z niej chorego napoiłem, w godzinę życie zakończył.

Wielki ucisk cierpi dusza moja. bo mozem winien śmierci starca onego.

Ojciec podumał chwilę.

— Dziś — rzekł wreszcie do synów, mam dać mienie moje i błogosławieństwo najgodniejszemu z was. Ty, Osmanie będziesz moim spadkobiercą.

— On, który może winien śmierci człowieka? — zapytali zdziwieni bracia.

— On, bo popełnił tylko omyłkę, Ty, Ali, drugim jesteś w sercu mojem, bo przywłaszczyłeś sobie wprawdzie cudze dobro, ale nie powiedziałeś, iż źle czyniłeś. Popełniłeś błąd tylko. Ty, Achmećcie, serce me głęboko zraniłeś; gdy tylko sam Ałach patrzył na Ciebie, odtrącałeś nieszczęśliwego, a tuliłeś do łona sierotę, gdy oczy moje na tobie spoczęły. Ty chciałeś mnie oszukać; fałszu się dopuściłeś. Dla ciebie nie ma przebaczenia!

Lecznica Krakowska,

576 Milwaukee ave., na piętrze.

Leczenie: Gorączom powietrzem, Wibracją, Elektryką, Massowaniem, Gimnastyką, Hydroterapią, Suggestyą, Kąpielami złotowemi i mineralnemi.

Władysław Krupa,

Telefon: Polk 1030.

Właściciel Zakładu.

Spółka Młodzieży Polskiej

poleca Szanownej Publiczności
swój wielki SKŁAD OBUWIA

pod firmą

'The Grand Shoe Co.'

865 Milwaukee ave.,
pomiędzy Division i Ashland ul.

W tym składzie sprzedaje się trzewiki modne i trwałe dla mężczyzn, dam, młodzieży i dzieci po cenach umiarkowanych.



JÓZEF KORZENIEWSKI,

Przedsiębiorca pogrzebowy
i balsamator.

Wypożycza powozy na pogrzeby, chrzestny, i t. p.

318 N. Carpenter ulica.

Telefon Monroe 945.

— Otwarte w dzień i w noc. —

Fotografie!

Wykonujemy w najnowszym stylu i najmodniejszych pozycjach. Ślubne fotografie wykonujemy z wielką akuracją; nawet w dni pochmurne i deszczowe wykonujemy fotografie pod gwarancją. Jedyna galeria, która posiada światło Rembleta. Ceny niższe dla grup, towarzystw i dzieci.

Extra dla nowożeńców!

Dajemy jako prezent piękny portret wielkości 16x20.

St. Adamkiewicz & Co.,

właściciele zakładu fotograficznego

AMERICAN PHOTO ART STUDIO,

685 Milwaukee Avenue,

— pomiędzy Augusta i Noble ulicami. —

FRANK KLAJDA

Ciesla, Budowniczy i Kontraktor.

Wykonuje wszelkie roboty szybko, starannie i po bardzo niskich cenach.

595 Dickson ul. Tel. Polk 225

OGŁASZAJCIE SIĘ
w „MACIERZY POLSKIEJ”.

NAGRODY

— dla —

**Członków i Członkiń
pracujących nad
powiększeniem szere-
gów Macierzy Polskiej.**

Nagroda I-sza:

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Dla pań i dla mężczyzn.)

Ten wspaniały szczerzoty medal, do noszenia na piersi lub też jako broszka, z pięknie rytowanym napisem "Hołd zasłudze" na przodzie, a nazwiskiem odznaczonej lub odznaczonego na odwrotnej stronie. Ozdobna pamiątka na całe życie, którą każdy z dumą nosić będzie.

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Wyłącznie dla mężczyzn.)

Ten elegancki, szczerzoty

medal z naszym godłem, w formie brylka do zegarka, z nazwiskiem odznaczonego rytowanym na odwrotnej stronie. — Rzecz piękna, cenna i trwała, która każdemu się spodoba.

Nagroda II-ga:

Za 5 nowych członków lub członkiń.



Sliczny, szczerzoty oznak honorowy dla wszystkich członków, do noszenia na piersi, na klapie surduta, lub jako broszka, zawsze i wszędzie.

Nagroda III-gia:

50 centów

Za każdego nowego członka lub nową członkinię Macierzy Polskiej.

Kto już ma oznak honorowy lub też złoty medal, albo woli gotówkę raczej niż pamiątki, ten lub ta mogą zarobić sobie 50 centów za każdego członka wprowadzonego do Macierzy Polskiej.

Po najlepszych szczerzoty - złote ślubne obrączki idźcie do jedyne go polskiego składu zegarmistrzowskiego na Milwaukee ave.—do

M. Wojteckiego,

677 Milwaukee ave.

Telefon Monroe 1298.

JEŻELI CHCECIE
kupić lub sprzedać property, grunt lub farmę, albo pożyczyc pieniądze na budowę lub zakupno, to zgódźcie się do nas my wam najlepiej ustatymy

A. J. Kowalski & Sons,
625 Noble ul., Chicago.
JAN KOWALSKI,
agent ubezpieczenia od ognia członek Fire Underwriters Association.
Asekurujemy od ognia w najlepszych kompaniach. Wyrabiamy wszelkie papiery legalne.

Artystyczne Grenowane i Dekorowanie Freskiem i Tapetami

MAX BROCHOCKI,
Malarz i Dekorator.
Wykonuje wszelkie roboty w zakresie malarskim wchodzące.

595 Holt Ave., - CHICAGO.

Pierwszy Polski Zakład

INTROLIGATORSKI,
812-14 MILWAUKEE AV., róg HADDON,
CHICAGO, ILL.

podejmuje wszelkie oprawy książek, to jest nakłady całe lub pojedyncze, jako to: książki biblioteczne, do nabożeństwa, nauki, książki szkolne i t. d. po cenach umiarkowanych. Każda robota wykonana w naszej pracowni będzie gwarantowana i trwała, za co ręczymy naszym klientom.

OLSZOWY I SPÓŁKA,
812-814 Milwaukee Ave.
CHICAGO, ILL.

N. L. PIOTROWSKI
ADWOKAT.

Praktykuje we wszystkich sądach.
Ofis: 59 Clark ul., róg Randolph
Pókoj 307, 3cie piętro. Tel. Central 908.
Wieczorem 605 Noble ul. Tel. Monroe 2427
Miensk. 30 Humboldt Blvd. Tel. Humboldt 1854

Ogłaszajcie się w
Macierzy Polskiej.

WEST SIDERS BE WISE

Why pay big prices to build Tunnels and Skyscrapers? You can save money and improve the West Side by Buying at Home. Get the Union Label. Good Clothes.

THE ARMITAGE
Milwaukee & Armitage Aves.